NUMER 31. DNIA 2-go SIERPNIA 1903 ROKU ROK XI.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

Z nieznanych listów Zygmunta Krasińskiego.

Oba listy wielkiego poety, które przytaczamy poniżej w przekładzie p. W. Daleckiej z oryginałów francuskich, pisane były do Henryka Reeve. Po znanych zajściach w uniwersytecie warszawskim, 17-sto letni naówczas Zygmunt udał się w jesieni 1829 r. dla dalszych studjów do Genewy, gdzie się poznał i zaprzyjaźnił z młodym, niepospolitych zalet umysłu i serca Anglikiem. O stosunku tym prof. J. Kallenbach pisze co następuje, w psychologicznem studjum swojem: „Z młodych lat Zygmunta Krasińskiego“ *)

„Zawarta w Genewie serdeczna przyjaźń z młodym Anglikiem, Henrykiem Reeve'm, oddziałała bardzo korzystnie na młodego Polaka. Uzupełniali się ci dwaj młodzieńcy wybornie: Anglik wytrawnym, spokojnym sądem chłodził entuzjastyczne porywy polskie i sam nawzajem ulegał bujnej fantazji Krasińskiego, poddawał się urokowi tej bogatej, płomiennej inteligencji.

„Przez lat kilka Krasiński nie miał serdeczniejszego i lepszego powiernika. Reeve'owi mówił i pisał to, z czegoby się nigdy ojcu swemu nie zwierzył, bo młodość szuka do wynurzeń młodych serc, nie doświadczonych rozumów. Dzięki częstej korespondencji z Reeve'm, dzięki rękopisom francuskim, które przyjaciel przy rozstaniu zabrał, z pietyzmem przechował i po latach 60-ciu wnukowi Zygmunta przekazał — mamy dziś wyjątkowo obfity i ważny materjał do skreślenia epoki genewskiej Zygm. Krasińskiego . Pożółkłe kartki genewskie są wiernem i szczerem świadectwem duchowych trudów, wytrwałej służby ideałom. Uczuć kwiaty, wieńczące niegdyś skronie młodego poety, znikły oddawna, ale woń ich unosi się nad staremi kartkami, a myśli tkaninę mól czasu uszanował.

„Z autografów francuskich wyczytać można zwikłane dzieje cichych, bezkrwawych, a tak znojnych walk wewnętrznych młodego poety, zdobywającego, po stromych ścieżynach, w pocie krwawym, te ideały społeczne, które miały wieść go na szczyty prawdy i piękna“.

I.

Rzym 20 marca 1834.

Mój drogi Henryku!

Ja także nieraz myślałem, że ludzkość jest niczem, ponieważ nie miała niebieskich przeznaczeń, a człowiek jest wszystkiem. Lecz prawdę mówiąc, nie jest to chrześcijańska doktryna. W niebie chrześcijańskiem jest społeczeństwo. Święci połączeni są z ziemią zasługami swemi; skąd wyciągam tę ścisłą konsekwencję, że społeczeństwo

*) Tyg. Illustrowany. Nr. 21. r. 1903.

jest tak samo nieśmiertelne, jak jednostka. Zresztą cóż chcesz? indywidualizm to duma, — społeczność, komunizm, to panteizm, a środek między temi dwiema ideami to człowiek, taki, jakim być powinien, taki, jakim nie jest. Zresztą na ziemi nie uznaję nic ponad społeczeństwo; każda zaś jednostka powinna być Kurcjuszem. W niebie uśmiecha mi się indywidualność, przez zaniedbanie całej swej indywidualności ziemskiej odbywa się indywidualność wieczna.

Ach, Henryku, ile ciemności z Zachodu i ze Wschodu! Ile próżnych narzekań na wybrzeżach ziemi! Ile myśli wirujących, a nie przynoszących żadnego miodu! Ile gorzkich zwątpień w głębi każdego serca! Ile sztucznej wiary, która w gruncie rzeczy jest lekkością i zdaje się być ukrytem przekonaniem! Jaka niesłychana i pychy pełna nadzieja oszukiwania bliźnich! Ile wysiłków, aby oszukać siebie samego! Ile systematów, opartych na słowach! Ile wyrazów, które nie są słowem, które nie mają żadnej myśli! Jaka monotonja, usiłująca bawić się w rozmaitość, w nicość, w oryginalność, w tworzenie, dzięki kombinacjom najczyściej mechanicznym! Ile trwogi w duszy każdego, a ile pewności na czole! Czy wielu jest ludzi wierzących w nieśmiertelność duszy? Co za świat! Jaka nieznajomość przeszłości i przyszłości, a jednak ile szalonych skoków na drodze! A niemniej, ciągle i bez wytchnienia zbliżają się wszyscy do swego celu nieznanego, modląc się i bluźniąc; idą, kroczą i czy mogą się zatrzymać? Nie. Życie, które ich ożywia, popycha ich naprzód fatalnie, i jeśli człowiek jest istotą wolną, ludzkość jest zwierzęciem, biegnącem instynktownie. *Vox, vox, et praeterea nihil.* O, mój Boże, o, mój Ojcze, który jesteś w niebiesiech, zeszlij nam spojrzenie miłosierdzia, promienie miłości, bo słabi, rozproszeni, nurtowani niepewnościami, otoczeni wściekłością archanioła, który niegdyś walczył przeciw Tobie, kroczymy smutni ku Twojej wieczności. I spraw, mój Ojcze, aby ta wieczność nie była pustynią bezbrzeżną, dokąd przybywszy bezsilni, mdlelibyśmy bez mocy i bez końca!

Jadę 15 kwietnia do Monachjum, Wiesbadenu i Ems; będzie to ostatni wysiłek w celu odzyskania zdrowia. Prawdopodobnie przejadę przez Genewę, gdzie pragnąłbym znaleźć list od Ciebie, Henryku. Niech wspomnienia otoczą mnie w Paquis i na jeziorze. Pisz na 10 maja do Genewy, na pierwsze dni czerwca do Monachjum. Za kilka dni 25 marca. Przed czterma laty: Salève, przed trzema powracałem z Włoch i wieczorem paliłem u Ciebie cygaro. Przed dwoma laty byliśmy razem w Salève i cała moja młodość zamknięta jest w tych słowach... Mieszkam obok Guiccioli. Co wieczór słyszę go, jak śpiewa do północy. Przed trzema laty wywarłoby to na mnie jakieś wrażenie; dziś jest mi to obojętne.

Żegnaj, *and remember me!**)

(D. n.) *Zyg. Kras.*

*) i pamiętaj o mnie.

WACŁAW SIEROSZEWSKI

POWRÓT.

POWIEŚĆ.

(5)

Pogodny, letni poranek wyzłocił i rozbłękitnił rzekę.

Nawet ubogie, odrapane miasto wyładniało w jego promieniach. Ciemny pas nadbrzeżnych budowli, świecące po nad nim głowice cerkiewnych dzwonnic, biały klasztor za łączką, na zielonym przylądku, dalekie mgliste góry, rozświetlone i radosne, przeskoczywszy piachy mielizn i szeregi statków, przeglądały się zalotnie w potężnem zwierciedle mknącej mimo nich wody. Jarmark w zatoce jeszcze się nie ocknął. Większość statków spała cicho, szczelnie zamknięta. Nieliczne postacie ludzi rysowały się ostro w rannem, niezbrukanem kurzawą powietrzu. Przeciągali leniwie zdrętwiałe we śnie członki, prali bieliznę, myli twarze, palili fajki lub pili

herbatę, siedząc u ogni, których siwe dymy cieniutkiemi strugami płynęły ku górze.

Na uboczu, u wylotu zatoki, oddzielnie od niedawnych towarzyszek, pokryta półkolistą budą żaglową, z masztem wzniesionym pionowo, opięta, osmolona, ogładzona, podwiązana stała łódź, gotowa do drogi. Nurt trącał o nią i biegł dalej z pomrukiem, jakby wabił ją z sobą, a ona drżała wciąż, kołysała się zlekka od tej pieszczoty, napinała więżące ją cumy, starając się nawrócić ku niemu.

Podróżni już dawno byli na miejcach. W środkowej części, za płóciennemi zasłonami kupcy gadali głośno i dzwonili butelkami. W tyle siedziała pani Karska ze śpiącym Olesiem na kolanach i wylękłemi oczami patrzała na męża. Ten, chmurny, stał na rudlowym pomoście i nie spuszczał oczu z przodu łodzi, gdzie podniesione do góry żaglowe obszycie, pozwalało dojrzeć pustą zupełnie, zawaloną worami komorę. Mieli tam sypiać robotnicy. Ale dotychczas śladu ich tam nie było. Jedynie mały, marny, podobny do gnoma, kucharz Spirydion kręcił się na samym dziobie łodzi, koło wyłożonego cegłami ogniska i przestawiał niespokojnie naczynia z miejsca na miejsce. Od czasu do czasu prostował się, poprawiał łachmany na piersiach i spoglądał przeciągle na brzeg w stronę starej, przewróconej do góry dnem, na budynek przerobionej barki z oknami przebitemi w bokach i żelaznym kominem pośrodku. Stamtąd, to wzmagając się, to cichnąc, dolatywał nieustannie gwar głuchy, wielogłosy. Dwaj „wodni strażnicy“ z żółtemi blachami na piersiach i krzywemi szablami w czarnych pochwach u boku, krążyli dyskretnie w pobliżu.

— Na co czekamy? Gdzie gospodarz?! Gdzie robotnicy?! — krzyknął Karski do kucharza.

— Nie wiem. Chyba... chyba, że są... tam! — odpowiedział, kiwając w stronę budynku.

Karski zaczął się przysłuchiwać lecącym z tej strony odgłosom. Nawet jeden z kupców wysunął okazałą twarz z za płachty i spojrzał ciekawie.

— A co tam?

W tej właśnie chwili drzwi budynku otwarły się, wyskoczył z nich Damian, kiwnął na strażnika, coś mu szepnął, i obaj znikli napowrót w szopie.

Karski zszedł na brzeg i podążył w tym kierunku. Spirydion biegł za nim o jakie pół kroku.

— Bo to, widzi pan, co się komu należy, to się należy!.. — mruczał ciężko dysząc. — Byłbym dawno z nimi, lecz... moja rzecz, kucharska rzecz... ogniowa. Zatem stoję na warudze. Brodzić po wodzie nie będę, więc mi ani brodnie, ani onucze nie są do tego stopnia potrzebne... Gdybym tam się znalazł, łatwo by mię spytali: ty tu po co? a gdzie pasport?... Po co narażać się na zbyteczne pytania?... Powiedzą zaraz: burzyciel. A i to prawda, że jestem bitny i krewki... Gadać długo nie lubię! Raz, dwa, trzy... potem w zęby i dalej, jak się należy.... muszę się więc wystrzegać wszelkiego wzruszenia.

Na drodze dopadł ich Leon, który biegł pospiesznie od strony miasta.

— Dzięki Bogu; jeszczeście nie odjechali! Spóźniłem się... Wczoraj wieczorem przyjechał Makary i całą noc przedyskutowaliśmy. Makary też chciał przyjść pożegnać się z tobą, ale usnął tak twardo, że go się dobudzić w żaden sposób nie mogłem... Wiesz co, Karski, zazdroszczę ci, że wracasz właśnie teraz do Europy, w taką ciekawą, przełomową chwilę... Ale dokąd tak się spieszysz?

— Awantura! Pytanie jeszcze, czy pojadę... Zdaje się, że zmowa... — odrzekł sucho Karski.

— Zmowa?... Tutaj zmo-wa-a? — przeciągnął zachwycony Leon. — Co ty mówisz? Gdzie?

Karski wskazał palcem szopę.

Gdy weszli, gwar przycichł. Strażnik wyprostował się. Damian opuścił wyciągniętą ku nieprzyjaciołom rękę. Robotników było dużo, znacznie więcej, niż ich najął Damian. Widocznie zebrali się na widowisko. Stali w głębi wzdłuż ścian, malowniczo oparci o siebie i co chwila wybuchali śmiechem. Na przedzie kupili się oryle Damiana.

— Zbliżcie się, panowie, zbliżcie; spójrzcie i wydrukujcie w gazetach, jak to krzywdzą nas biednych i bezbronnych ludzi! — zwrócił się patetycznie do Karskiego i Leona, obdarty włóczęga stojący na czele gromady. Był krępy, zwięzły, z twarzą czerwoną, z buremi, wesołemi oczami i dużym, sino-żyłkowanym nosem. Nad nizkiem ale wypukłem czołem wichrzyła mu się strzecha rudych, gęstych włosów.

— Ta oto pijawka, żyd w kształcie człowieka, obiecał nam dwie pary brodni i cztery

pary onuczy, a jak przyszło co do czego, to daje jeno parę obutek i połowę szmat... Nie, nic z tego, kozia twoja mać, istnieją prawa w naszem państwie... Rzucił brzydkiem, czteropiętrowem tak dziwacznem przekleństwem, że aż szopa zadrżała od śmiechu robotników.

— A nieprawda!.. A łżesz!.. Dam wszystko, nie odmawiam, ale... w połowie drogi, w Olokmie, bo teraz przepijecie... Boso nie będziecie chcieli iść... Znam was... Ty pierwszy na piasku się położysz, burzycielu, Indorze przeklęty!.. W złą godzinę spotkałem się z tobą. O dolo moja! Żebyś skisł, żebyś spłonął od gorzały, wstrętny opoju!.. — złościł się Damian.

— Bez wołania przyszedłbym bronić braci moich... — zimno odpowiadał Indor. — Dawaj obutki, niema co!.. A co zechcemy z niemi uczynić, to nasza rzecz: może dziewczynie swojej zechcę podarować, żeby sobie z cholewy uszyła... futerał, a może worek każę uszyć na pieniądze... Skąd ty możesz wiedzieć, czego wolna dusza pragnie? A nie chcesz, to pocałuj psa w nos, powiedz otwarcie i zostań z Bogiem!.. Matkę własną do łodzi wprzążaj, Koźmę wprząż... Gurana wprząż i hajda!..

— Ty sobie gęby mną nie wycieraj! — obruszył się, ubrany dostatnio, na uboczu stojący, chłop sybirski.

— A bo to nie mam czem? — rozśmiał się Indor, spoglądając szyderczo na tęgą, mięsistą figurę Gurana.

Słuchacze przywtórzyli mu wesoło.

— Otrząśnijcie, bracia, proch z nóg waszych i chodźcie... Już oni nam nic nie dadzą! Już ja to widzę. Rusz się, Obuchu!.. — zwrócił się do siedzącego na stole rosłego blondyna o rysach regularnych i niebieskich oczach. Ten potoczył rozśmianym wzrokiem po obecnych, lecz nie kwapił się do wyjścia.

— Nie słuchajcie go, chłopcy!.. Miejcie rozum... Czy to pierwszy raz pływacie?.. Są tu przecie tacy, co już ze mną chadzali... Naprzykład... Spirydyon, albo ty, Wiarusie... poświadczcie!. Dam wszystko, ale na pierwszej dopiero wyspie!.. Tutaj nic dać nie mogę. Już i tak przepiliście połowę zarobku. Gdy przepijecie wszystko, gdzie was będę szukał? Stracicie wszelką do roboty ochotę, jak nic już do odebrania za nią nie zostanie!.. Wniknijcie i w moje położenie! — dowodził pojedynczo Damian.

— A co, bracia! na wyspie to się może i zgodzić!.. Niech da wszystko na wyspie, a teraz... po dziesiątce na głowę, albo po pół kwaterku i w drogę! — krzyknął piskliwie wysoki, szary i wyliniały, z długą szyją i wystającym kadykiem robotnik. (C. d. n.)

„Dzień duszy“

Śród najnowszej generacji poetów da się zauważyć pewna linja, na której luźne, rozerwane, czasem z umysłu *inkoherentne* myśli i formy poprzedniego dziesięciolecia — tężeją i nabierają jakiejś parnasowej równowagi i jednolitości. Poeci, którzy na tej linji stanęli, mogą być śmiało nazwani nowoklasykami, gdyż w ich formie, umocowanej na bardzo trwałych i silnych podstawach, znajdujemy zasadniczą cechę klasycyzmu — opanowanie wrażeń i samowiedną władzę nad niemi — gdy nieklasyczny duch przeciwnie poddaje się wrażeniom i sam ich władzy ulega. Ale ten neoklasycyzm ma znów znamię, które go stanowczo odróżnia od starego klasycyzmu, bezwzględną podmiotowość. Autor nie tylko wystawia przed czytelnikiem swoje *ja*, ale właściwie sam tworzy je wobec jego oczu. Możnaby powiedzieć o tych neoklasykach, że oni naprzód oddają się fali wrażeń a przytem wydobywają się z pod ich wpływu — i sami rzeźbią duszę własną.

Do tych klasyków nowej doby należy Leopold Staff — który już dał się poznać, jako autor *Snów o Potędze i Mistrza Twardowskiego*. Świeży tom — *Dzień Duszy* — rozwija w dalszym ciągu motywy *Snów*. W pewnym względzie zbiór nowy zwiastuje wielki krok naprzód u poety, wyzwolenie od wpływów obcych; skondensowanie jeszcze silniejsze formy, przy jednoczesnem dążeniu do kształtów luźniejszych (*vers libre*: Wejmuta, Upadek; mniej fortunny). Nie znajdujemy jednak nowego tchnienia: świeży, bo młodzieńczy, nowy zbiór Staffa często jednak przypomina zbiór pierwszy jego Snów — i ten sam motyw samozachwytu powtarza w pewien dość monotonny sposób. Piękną jest wiara we własną moc i wszechmoc; jest to znakomitej siły autosuggestja: ale nie sądzę, aby właściwem było ciągłe powtarzanie tej melodji, gdyż staje się to manjerą i czytelnik mimowoli zaczyna autorowi niedowierzać. W *Snach o Potędze* Staff na czele zbiorku, w nader pięknym sonecie, opiewa, jak swoją duszę młotem wykuwa, aby ją uczynić potężną i niepokonaną: to jest owo samotworzenie się człowieka, o którem wspomniałem wyżej. Nowy zbiór przedstawia niejako nowy etap tej duszy, już częściowo wykutej — i która w dalszym ciągu sama siebie urabia.

Autor przechodzi tu przez nowe rozmyślania o swojej potędze („Na to duchowi memu przydane tęsknoty, mojej potęgi przyszłej pilne, skrzętne pszczoły. ."), wpada w pełne mądrości szaleństwo (zwłaszcza głęboka *Klęska*), przeżywa pełne mroku i jesiennie dżdżystej godziny melancholji, aż mu uderza godzina *Odjazdu w Marzenie*.

Jest to jakby przełomowa chwila owego dnia duszy, po której idą *Pocałunki*, *Dzień Pracy*, pełny robocizny na ornych polach, pachnący ziemią wilgotną i żarem słońca i *Szczęście wiosenne* i *Południe włóczęgi*. Zamyka księgę szereg sonetów pt. *Bogowie*, gdzie autor jakby pod wieczór urozmaiconego dnia mówił tuż za światem.

Wiele jest piękności w najlepszem znaczeniu tego wyrazu — w tym tomie Staffa — nie cytujemy więc nic w szczególności, zaznaczamy tylko umiejętne władanie językiem metafor, któremi skrzą się i promienieją metaliczne i granitowe wiersze młodego poety.

A. L.

Witold Leitgeber

Na ziemi wielkopolskiej złożono do grobu znowu jedną ofiarę pruskich siepaczy...



Śp. Witold Leitgeber pochodził z zasłużonej rodziny poznańskiej, która dała kilku zacnych obywateli. Ojciec jego, Mieczysław, księgarz, dał się poznać jako zdolny pisarz ludowy (Mieczysław z Poznania), tak samo stryj Jarosław, księgarz i drukarz, piszący pod pseudonimem Jana Tworzymira. Witold urodził się w Poznaniu, dnia 12 listopada 1870, z rodziców śp. Mieczysława i Marji z Gąsiorowskich, i tamże uczęszczał do gimnazjum Marji Magdaleny, a następnie do gimnazjum w Ostrowie. Po opuszczeniu ław szkolnych poświęcił się zawodowi księgarskiemu, odbywając praktykę najpierw w księgarni ongi ojca swego, a obecnie stryja w Poznaniu, później w księgarni H. Altenberga we Lwowie, a wreszcie w wielkiej firmie szwajcarskiej Braci Benziger w Einsiedeln. Odznaczył się tam i pozyskał zaufanie firmy, która po paru latach poruczyła mu kierownictwo nowozałożonej filji w Kolonji nad Renem.

Podczas pobytu na obczyźnie śp. Leitgeber brał żywy udział w życiu politycznem

wychodźców polskich; w Zurychu wygłaszał mowy na obchodach narodowych ku uczczeniu nocy listopadowej i powstania styczniowego; interesował się gorąco Muzeum narodowem w Rapperswylu, które mianowało go członkiem korespondentem, zaś w Kolonji pracował w towarzystwie „Skała“, najpierw jako członek, później jako prezes. W r. 1897 wrócił do kraju, nabył drukarnię w Ostrowie i wychodzącą tamże „Gazetę Ostrowską“, którą sam redagował, a nadto założył księgarnię i prowadził ją w duchu obywatelskim, szerząc głównie wśród młodzieży szkolnej patrjotyczne pisma.

W wolnych od obowiązków zawodowych chwilach próbował śp. Witold Leitgeber sił swoich na niwie literackiej. Pierwszą jego pracą była gorąco skreślona biografja żyda-patrjotę, Berka Joselowicza. Oprócz broszur ludowych (życiorys Mickiewicza w pięciu wydaniach), dorobek literacki Leitgebra wykazuje dwa utwory dramatyczne oraz dwa tomiki poezyj, przyjęte życzliwie przez krytykę, jako bezpretensjonalne utwory młodej a gorąco czującej duszy. Jeden z jego poematów znalazł tłumacza na język niemiecki, w osobie Alberta Weissa, znanego badacza literatury polskiej.

W roku 1899 wydał Leitgeber broszurę o Rapperswylu i Muzeum narodowem. Broszura ta, jak wszystkie prace nieboszczyka, pisana żywo i barwnie, tchnąca gorącym patrjotyzmem, zawierała także wiadomość o Skarbie narodowym. Zwróciło to uwagę rządu pruskiego, który od dawna już podejrzliwem okiem patrzył na stosunki autora z młodzieżą. To też zarządzono w jego mieszkaniu ścisłą rewizję, której bezpośrednim skutkiem było aresztowanie śp. Leitgebra, a dalszem następstwem masowe rewizje i znane procesy gimnazjastów i akademików z Księstwa i Prus Zachodnich. Najdotkliwiej odczuł prześladowanie pruskiego rządu sam autor broszury. Po kilkumiesięcznem więzieniu śledczem stanął jako „zdrajca stanu“ przed sądem Rzeszy w Lipsku, który go skazał na rok więzienia w saskiej twierdzy Ehrenbreitenstein.

Ciężkie warunki więzienne podkopały do reszty nadwątlone przez pracę nadmierną siły skazańca. Nie ustawał wszakże w zabiegach, owszem ze zdwojoną energją wziął się do czynu i wkrótce po ukończeniu założył filję swojej księgarni w Krotoszynie i począł tamże wydawać gazetę miejscową.

Były to jednak ostatnie już rozpaczliwe wysiłki. Szybko rozwijająca się choroba piersiowa położyła w dniu 6 lipca r. b. kres życiu zacnego księgarza-obywatela.

Stanisław Botwiński.

Karol Notz.

SOŁOTWINA

W uroczym zakątku u podnóża Karpat, otoczona z trzech stron górami a z czwartej oddzielona Bystrzycą leży starodawna Sołotwina, niegdyś zwana Krasnopolem. Dlaczego przezwano to miasteczko Sołotwiną, niewiadomo, ale że tak było, świadczy przewszystkiem pieczątka gminna, dziś w muzeum Ossolińskich, z łacińskim napisem: „Civitas Krasnopol, S. R. M.“, z herbem dwie beczki z solą i trzy topki soli. Dziś jej nieużywają, natomiast zrobiono nową pieczęć z godłem gołębia i napisem: „Urząd gminny Sołotwiny“.

Zwiedzając mieścinę tego roku, nie mogłem oprzeć się pokusie, by nie pozbierać pamiątek pozostałych jako drogie wspomnienia zmierzchłych czasów i nie podzielić się z szerszym światem, tem bardziej, iż oko zwiedzających turystów nieraz ominie to, co tak łatwo w oczy nie wpada.

Miasteczko to położone dokoła wśród urodzajnych pól, zieleniejących się łąk, barwnych

pastwisk, fal rzeki, płynącej z hukiem i szumem, rozkoszuje się bujnymi, bukowymi lasami na górach. Kiedy ono założone zostało,— niewiadomo, ale równie stare, jak Halicz, Śniatyn i t. p. miasta, również bogate i potężne, również opatrzone rozmaitymi przywilejami, używające prawa magdeburskiego. Za polskich czasów tworzyła Sołotwina dobra stołowe, była w zarządzie Tarłów, Skarbków, później należała do skarbu państwa a od niedawna należy do dóbr br. Liebiga.

Dojeżdżając do miasta, zdala już widzieć można wieżę kościoła, spoczywającego na miękkich progach, kształtu podłużnego czworoboku z trzema wypustkami, pobitego gontami. Stoi przy głównej ulicy, tak zwanej pańskiej, otoczony wieńcem starych, rozłożystych dębów, starszych bezwarunkowo aniżeli on sam, świadków niejednej chwili szczęścia i nieszczęścia. Nie na tem jednak miejscu stał dawniejszy kościółek, spalony przez Tatarów, lecz nieco z boku, dalej od drogi, w dzisiejszym ogrodzie parafjalnym przy kościele.

Kościołek niewielki, lecz wewnątrz piękny, starannie utrzymany, wszystko w nim nowsze, tylko niektóre obrazy bardzo cenne i ciekawe. Jeśli się przyglądać będziemy z uwagą, to musi oko nasze zatrzymać się przy bocznym ołtarzu na obrazie Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Bogarodzicy. Jest to obraz dawny, bardzo piękny, stylu bizantyjskiego z ruskim napisem. Jest to więc jeden z obrazów ze Skitu Bazylianów w Maniawie, dziś nieistniejącego, a naokoło obrazu są tak zwane „prazdnyki bohorodyczni", także z ruskimi napisami. Takich obrazów jest tam więcej i one to są prawdziwą ozdobą kościoła i jego cennymi zabytkami przeszłości.

A przeszłość kościoła? I ją możemy w krótkości podać, opierając się na „Liber Memorabilium", znajdującem się w aktach kościelnych.

Wedle podania istniał drewniany kościół od najdawniejszych czasów, lecz wskutek napadów Turków i Tatarów nie tylko złupiony, lecz całkiem zniszczony i z ziemią zrównany został. W r. 1677, za staraniem Adama Tarły, wojewody lubelskiego i kapitana sołotwińskiego, postawiono nowy mały kościółek, lecz bliższych danych brak. Opowiadają, że nie był wcale uposażony i dla tego nie miał proboszczów, lecz tylko był dla pobożności mieszkańców przez jakiś czas administrowany. Dopiero wskutek zabiegów Pawła Benoe, kapitana jabłonowskiego, nadał August III. w r. 1746 16. września erekcję w Warszawie.

(C. d. n.)



KOŚCIÓŁEK ŚW. ANNY W NOWYM TARGU.

Do artykułu w ostatnim numerze „Tygodnia" pt. „*Częstochowa na Podhalu*" zamieszczamy dziś widok starożytnego kościółka św. Anny w Nowym Targu, którego poświęcenie po gruntownej restauracji dokonane zostało w niedzielę dnia 26. bm.

Rycinę powyższą podajemy na podstawie „Przewodnika do Tatr" Walerego Eliasza-Radzikowskiego.

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI. Dr. J. B. Marchlewski. *Stosunki społeczno-ekonomiczne w ziemiach polskich zaboru pruskiego.* str. 389. Wydawnictwo Pol. Tow. Nakł. we Lwowie.

O stanie zaboru pruskiego wiedzieliśmy dotychczas niewiele: wiadomy nam był wprawdzie ucisk, jakiemu podlega żywioł polski, znane usiłowania włościan polskich, zmierzające do polepszenia swego bytu w kółkach rolniczych, wreszcie słyszeliśmy i czytaliśmy dużo o odrodzeniu narodowem na Śląsku. Nie wiedzieliśmy jednak zupełnie, jaki jest stan materjalny ludu polskiego, na jakie rozbija się grupy; jaki stopień jego niezależności ekonomicznej w porównaniu z ludem niemieckim w sąsiednich prowincjach państwa. Nie dość znane nam były formy, w jakich przeprowadzone zostało uwłaszczenie włościan w Prusach Zachodnich, na Śląsku Górnym i w W. Ks. Poznańskiem! Nic prawie nie wiedzieliśmy o przemyśle i stosunkach handlowych w ziemiach polskich zaboru pruskiego. Książka Dr. Marchlewskiego daje nam właśnie obfity materjał, dotyczący kwestji bardzo mało, albo wcale nam nieznanych. Zawiera ona tak bogaty materjał faktyczny, że niepodobieństwem jest, w krótkim artykule sprawozdawczym dać o nim czytelnikom dokładne wyobrażenie. Można o niej pisać albo bardzo długi artykuł, z przytoczeniem głównych danych statystycznych, i wypływającymi z nich wnioskami, albo krótką notatkę, dającą ogólną charakterystykę pracy.

Musimy poprzestać na tej ostatniej.

Część pierwsza pracy poświęcona jest ludności.

Autor opierał się przeważnie na opisie z roku 1890, gdyż rezultaty późniejszego z 1900 nie były i nie są jeszcze po dziś dzień całkowicie ogłoszone. Wiadome są tylko ogólnie jego rezultaty. Polaków w 1900 roku było w Niemczech 3,417.827.

Ludność polska wzrasta, ale wzrost ten osłabia się przez emigrację. Wieś powoli wyludnia się, to ostatnie jednak odbywa się nie na korzyść miast polskich, lecz— niemieckich. Obliczenia, dotyczące ludności i jej wzrostu, oraz podziału na polską i niemiecką,— są smutne, zresztą tem trudniejsze, że, jak słusznie zaznacza dr. Marchlewski, spis ludności nie zawsze odbywał się umiejętnie. Właściwie dopiero bardzo niedawno prowadzą go w Niemczech w ten sposób. Następnie źródła, na których podstawie autor dochodził do swych wniosków, były różne. Nic więc dziwnego, że w niektórych pozycjach, dotyczących ludności w poszczególnych] ziemiach polskich, znajdujemy różnice. Dziecińśtwem jest jednak robić autorowi z tego powodu zarzut i żądać od niego, aby te różnice starał się „uprościć“ i stanowczo zawyrokować, które wyniki są prawdziwe. Oprócz tego w przedmowie przy tablicy statystycznej, dotyczącej ludności W. ks. Poznańskiego, wkradła się omyłka drukarska.

Część druga poświęcona jest rolnictwu. Autor zatrzymuje się nad właściwościami gleby i klimatu ziem polskich w zaborze pruskim. Dużo miejsca poświęca reformie włościańskiej, która w każdej z nich miała swe specyficzne właściwości. Czytelnik znajdzie tam cenne i ciekawe szczegóły.

Autor rozpatruje też stan różnych kategoryi gospodarstw rolnych i małych parcel, średnich, dużych i wielkich. Zawiłość zagadnień agrarnych występuje tu w całej postaci. Liczba najdrobniejszych gospodarstw włościańskich wzrasta, zmniejsza się natomiast liczba średnich i dużych. Zjawisko to w różnych prowincjach przybiera nieco różne formy.

Część trzecia poświęconą jest przemysłowi i handlowi. Znajdujemy tu mnóstwo danych, szczególnie dotyczących Śląska. Przemysł w ogóle słabo się rozwija, nawet te jego gałęzie, które związane są z rolnictwem, nie mogą się poszczycić dużym wzrostem.

Najciekawszą częścią pracy Dr. Marchlewskiego jest część czwarta, poświęcona proletaryzacji w ziemiach polskich zaboru pruskiego. Okazuje się, że odbywa się ona w nich szybciej, niż w całych Niemczech.

Autor zajmuje się dość szczegółowo położeniem różnych grup robotników rolnych i fabrycznych. Wykazuje ich ciężkie położenie materjalne, ich wyradzanie się fizyczne. Praca Dr. Marchlewskiego odsłoniła nam tu ranę społeczną, której rozmiary były nam przedtem nieznane.

Część piąta poświęcona jest walce klasowej i narodowej. Autor uwidocznia ścisły związek sprawy polskiej w Prusach z interesami warstw ludowych. Zatrzymuje się obszerniej nad akcją komisji kolonizacyjnej, wykazując jej słabość.

Książkę czyta się z wielkiem zajęciem i pożytkiem. Jest pierwszą, która się pokusiła o ujęcie całokształtu stosunków społeczno-gospodarczych. *K.*

Encyklopedja staropolska ilustrowana. Wydawnictwo to bardzo pożyteczne zbliża się już ku końcowi.

Praca to przechodząca stanowczo siły jednego człowieka, choćby nawet tak ze starożytnościami polskiemi obznajomionego jak p. Zygmunt Gloger, to też nikt za złe nie weźmie ewentualnych braków i niedokładności, jakieby się w wydawnictwie tem monumentalnem pojawić mogły. — Właśnie wyszedł z pod prasy zeszyt 5, ostatniego, czwartego tomu, obejmujący zakończenie litery R. i początek litery S. Zeszyt ten obejmuje kilkanaście artykułów bogato ilustrowanych planami, widokami i t. p.

Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego l. 8.